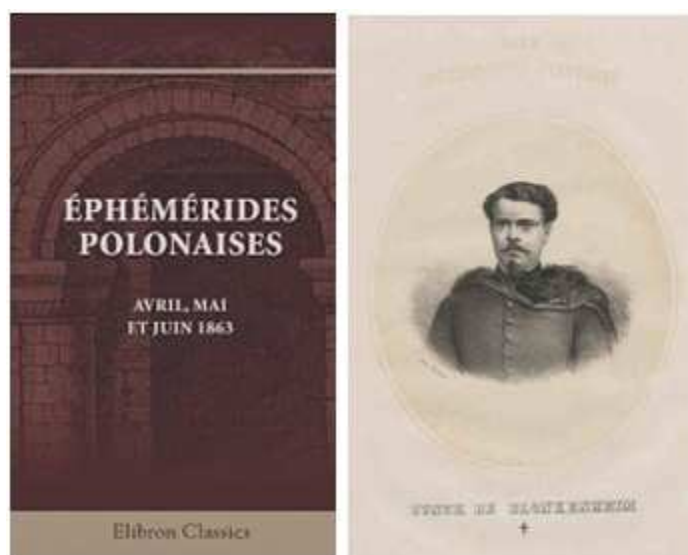


Dariusz Matysiak     „Na tropie Juncka”.

Rocznica powstania styczniowego skłania do zatrzymania się w biegu, spojrzenia wstecz i zadumy nad losem naszych poprzedników. Z mgły niepamięci zaczną wyłaniać się omszałe kapliczki na rozstajach dróg, u stóp których zabito, a czasem nawet pogrzebano jakiegoś powstańca; spoza płacznego welonu deszczu wyłonią się z kamieni wzniesione pomniki, które majestatycznym swym ciężarem strzegą złożonych pod nimi bohaterów; wyobraźnia podsunie dzielne, zadzierzyste postaci młodzieńców, którzy porwali się na bój z silnym i okrutnym wrogiem. Większość śladów po tych zapaleńcach dawno już przepadła w pomroce dziejów. Ci, którzy mieli więcej szczęścia, ocalili w dokumentach, listach, czasami – choć rzadko - zachowały się ich zdjęcia. Na jednym ze starych wizerunków widzimy szczupłego, młodego mężczyznę w skromnym mundurze, z artystycznie przewieszoną peleryną. Kolor sepii co najwyżej pozwala domyślać się, że jest on ciemnym blondynem; falujące włosy nadają twarzy delikatne, lekko zniewieściałe rysy, którym przeciwstawia się zawadiacki wąs i hiszpańska bródka. Marsowe spojrzenie każe domyślać się w mężczyźnie dziarskiego oficera. Skądinąd wiemy, że liczy sobie 25 lat, więc jest dopiero na początku swojej drogi życiowej. Jeszcze wiele przed nim! Może zostanie generałem? A może porzuci służbę, zaszyje się gdzieś w Prowansji, spędzi gromadkę dzieci i wraz z nimi będzie uprawiał winorośl? A może zostanie dyplomatą i resztę życia spędzi podróżując po wszystkich kontynentach? Otóż nie! Ten młody człowiek za kilka dni będzie... martwy!

Co o nim wiemy pewnego? Prawdę mówiąc, niewiele! Nie wiemy nawet, jak dokładnie się nazywał. Jedni mówią o nim: Young. Inni dodają: de Blankenheim. Jeszcze inni przypominają imię: Leon. Więc może nazywał się Leon Young de Blankenheim? Z taką pisownią spotykamy się najczęściej. Ale czy słusznie? Przypatrzmy się tej kwestii dokładniej... Zaczniemy od rycin i fotografii, jakie po nim pozostały. Dotarłem do czterech. Jedna z nich zamieszczona została w poniższej publikacji:



Na rysunku widzimy podpis: IUNCK DE BLONKENHEIM. Już sam fakt przekręcenia nazwy rodu nakazuje pewną ostrożność wobec tego źródła, ale przemawia za nim współczesność względem wydarzeń, ponieważ „*Ephemerides...*” były publikowane w paryskim wydawnictwie Edouarda Dentu w roku 1863, na fali zainteresowania francuskiej publiczności wydarzeniami rozgrywającymi się w Polsce. Być może wspomniany błąd popełnił rysownik? Trudno dociec, ale zachowując konieczną ostrożność, musimy jednak o tym źródle pamiętać. Dwa następne zdjęcia (licząc od lewej) zostały wykonane w tym samym zakładzie fotograficznym, o czym świadczy jednakowe tło. Co ciekawe, oficer przedsta-

wiony jest w różnym umundurowaniu, choć pas, order na piersi oraz trzymane w lewej dłoni kępi są identyczne. Lewa ręka ma tę samą pozycję: na wpół włożona do kieszeni. Gdyby założyć, że widoczny na środkowym zdjęciu mundur to rodzaj powstańczej czamary, można by pomyśleć, że mamy tu do czynienia z jakimś późniejszym retuszem, polegającym m.in. na domalowaniu kurty, butów z cholewami i pałasza w miejsce szpady, widocznej (choć z trudem) na lewym zdjęciu. Tę śmiałą tezę należy jednak odrzucić i przyjąć, że oba zdjęcia zostały wykonane w tym samym czasie, a oficer „uwiecznił się” się zarówno w mundurze galowym, jak i polowym. Przekonanie to udowadnia rycina (po prawej) zamieszczona w „*Le monde illustre*” z dnia 23 maja 1863, pod którą widnieje podpis: Yunck de Blankenheim. Na tej rycinie (opartej, jak wynika z podpisu, na fotografii) widać te same, jak na środkowym zdjęciu, szamerunki, a ponieważ gazeta francuska nie mogła jeszcze wtedy opierać się (w sprawie Juncka) na źródłach polskich, należy przyjąć, że oba zdjęcia zostały wykonane we Francji, być może w przededniu wyprawy do Polski. Na podstawie któregoś z nich (lub jeszcze innego) stworzono grafikę, którą zamieszczono we wspomnianym artykule pośmiertnym.



Pozostaje kwestia: kto i kiedy dopisał u dołu środkowego zdjęcia nazwisko Jung. Gdyby przyjąć, że owo dopisanie nazwiska miało miejsce w Polsce, łatwiej byłoby zrozumieć, skąd w pisowni nazwiska pojawiła się niewystępująca gdzie indziej litera „g”. Z uwagi na bliskość bezdźwięcznej głoski „k” z dźwięcznym „g” mogło nastąpić skojarzenie wymawianego po polsku nazwiska „Junck” z niemieckim „Jung”. Stąd już tylko krok do współczesnego skojarzenia (tym razem wynikającego z popularności języka angielskiego) ze słowem „Young”, tak często występującym w odniesieniu do naszego bohatera na stronach internetowych. Zresztą „Jung” i „Young” oznaczają to samo: kogoś młodego. Powyższa hipoteza brzmi zgrabnie, ma jednak jeden podstawowy feler: w XIX wieku to nie język niemiecki, ani też angielski był powszechnie używany w Europie. Dominował język francuski, którym nawet dowódcy rosyjscy chętniej posługiwali się niż językiem rosyjskim (i to nie tylko dlatego, że większość z nich nie była Rosjanami). Wspomniany mankament polega na tym, że wymowa francuska nazwiska „Junck” w transkrypcji fonetycznej brzmi [ʒək] (czyli wymawia się jak polskie: Żęk). Chyba że, o czym później, nazwisko to wymawiano nie po francusku, lecz po niemiecku!

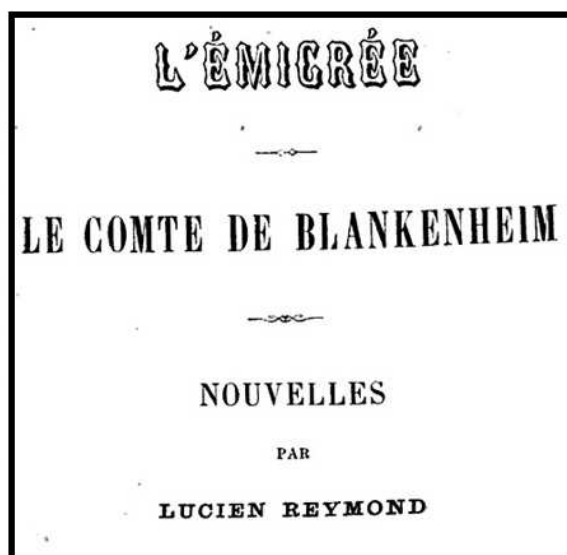
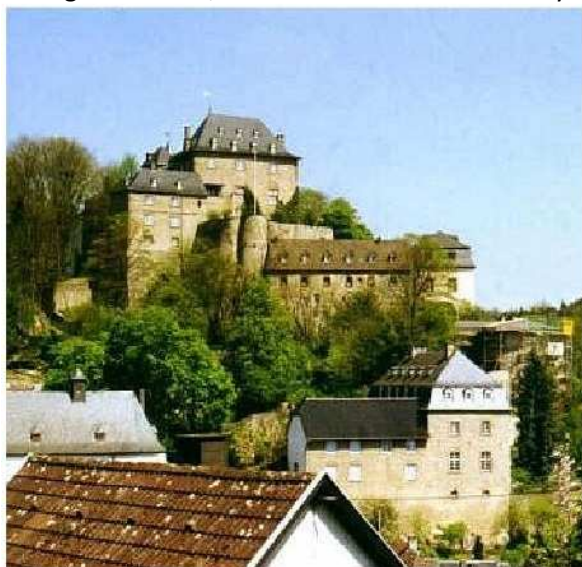
Wspomniano przed chwilą, że oficer nazywał się Junck. Skąd takie przypuszczenie, skoro pod wyżej pokazanymi konterfektami widzimy trzy różne formy pisowni nazwiska:

- Lunck de Blonkenheim
- Jung
- Yunck de Blankenheim

Otóż do postawienia takiej tezy uprawnia nas kilka przesłanek. Pierwszą z nich jest wspomniany już artykuł pośmiertny z „*Le monde illustre*”. W samym artykule, wbrew zamieszczonej tam grafice, nazwisko oficera w pełnej wersji (Junck de Blankenheim) wymienione jest dwukrotnie i tyle też razy

pada skrócona wersja (Junck) lub nazwisko rodowe (Blankenheim). Żadna inna pisownia nazwiska w tym artykule nie występuje. Po wtóre, w gazecie „*Journal de Toulouse*” z dnia 9 maja 1863 roku znajduje się artykuł poświęcony zmarłemu, w którym przytoczonych jest szereg faktów z jego życia, a także opinie przełożonych i kolegów; znajduje się tam również informacja o nabożeństwie żałobnym, które miało odbyć się w dniu 9 maja w kościele Notre-Dame w Bordeaux. We wspomnianym artykule nazwisko zmarłego zawsze występuje w formie Leon Junck (a tylko raz z dodatkiem: comte de Blankenheim). Z treści artykułu wynika, że informacji udzielały osoby dobrze znające oficera, należy więc przyjąć, że posiadały dokładną wiedzę na temat jego danych personalnych. Wreszcie przesłanka trzecia, definitywnie rozstrzygająca kwestię nazwiska: akt urodzenia. Dzięki uprzejmości pana Lionela Fontaine’a, dziennikarza i prezesa stowarzyszenia historycznego w regionie Haute-Marne (gdzie urodził się nasz bohater), otrzymałem szereg ważnych informacji. Otóż Leon Junck (dokładnie tak!) urodził się 13 grudnia 1837 roku w Chaumont. Jego ojcem był oficer Charles–Mathieu Junck, były Prusak (naturalizowany w 1818 roku), kawaler Legii Honorowej, który w roku narodzin Leona liczył sobie 46 lat (przeżył śmierć syna - zmarł w roku 1877, w wieku 86 lat). Matką była Camille–Leocadie Audry. Rejestracji narodzin u burmistrza dokonał dowódca batalionu, Jean–Elie Herault. Wydaje się, że informacje przesłane z Francji ostatecznie rozstrzygają sprawę nazwiska naszego bohatera. Pozostaje jednak sprawa tytułu hrabiowskiego, którym Junck miał się (podobno) posługiwać. Na zamieszczonych wyżej rycinach widać nazwisko rodowe: de Blankenheim. Na jakiej podstawie zostało tam zamieszczone? Spróbujemy wkrótce to wyjaśnić, najpierw jednak sprawdzimy, gdzie jeszcze mamy do czynienia z owym: de Blankenheim. Rozstrzygającym sprawę byłby jakiś dokument, własnoręcznie sporządzony przez Juncka. Po bitwie pod Nową Wsią (26 kwietnia) napisał raport, który przedrukowany został w „*Dzienniku Poznańskim*” z dnia 3 maja 1863. Gazeta tytułuje notatkę w sposób następujący: „Raport pułkownika Youncka de Blankenheim”, natomiast w miejscu podpisu możemy przeczytać: „(podp) Hr. Younck de Blankenheim”. Niestety, nie mamy oryginału tego raportu, a tylko jego przedruk, więc nie możemy stwierdzić, jak faktycznie wyglądał podpis naszego bohatera na tym raporcie. W świetle udowodnionej, jak się wydaje, sprawy nazwiska, może dziwić, że w artykule zastosowana została inna pisownia. W pewnym sensie osłabia to wiarygodność cytowanego źródła, ale przecież nie jest to jedyne źródło, które wskazuje na powiązanie Leona Junck z przydomkiem de Blankenheim. Chociażby w cytowanym już „*Journal de Toulouse*” z dnia 9 maja mowa jest wręcz o tytule hrabiowskim: Leon Junck **comte** de Blankenheim. W zasadzie jedynym aktem, który o tym przydomku (a tym bardziej o tytule hrabiowskim) nie wspomina, jest akt urodzenia Leona. Jednak nie można pozostać obojętnym wobec zastrzeżeń wspomnianego już prezesa stowarzyszenia historycznego, pana Fontaine’a, który napisał wprost: „nie znamy przyczyny, która uzasadnia ten szlachetny przydomek”. Myślę, że klucz do zagadki tkwi w poniższej informacji, przesłanej przez p. Fontaine’a, która to notatka dotyczy ojca naszego bohatera: „Il était né à Trèves, en 1791. Ce Prussien était devenu lieutenant... été naturalisé Français en 1818” (Urodził się w Trewirze w 1791. Został pruskim porucznikiem... Był naturalizowany w roku 1818). Trewir to miasto w Nadrenii, o którą od wieków rywalizowały pomiędzy sobą plemiona germańskie z galijskim (a także, co oczywiste, ich historyczni następcy). Jak na każdym pograniczu zwyczajnie bywa, czasami nie sposób odróżnić, kto do jakiej narodowości należy. Nazwisko Junck wyraźnie wpisuje się w niemieckie korzenie, ale fakt zmiany obywatelstwa może świadczyć o utożsamianiu się z Francją. Nie znamy motywów, którymi kierował się Junck senior, ale nie one są w tej chwili najważniejsze. Istotne jest bowiem to, że w tym samym regionie co Trewir, leży urocza miejscowość z okazałym zamkiem, którego sylwetkę możemy zobaczyć na poniższym zdjęciu. Miejscowość ta nazywa się... Blankenheim! Czy Charles–Mathieu Junck (a właściwie Karl Mathias, bo chyba takie imiona dostał na chrzcie w niemieckim Trewirze) miał jakieś prawo do noszenia tytułu hrabiowskiego? Wydaje się, że nie. Ród Blankenheim miał kilka gałęzi, które powstawały w wyniku a to koligacji, a to sukcesji po wymierających liniach. Na przełomie XVIII i XIX wieku istniała tylko gałąź Blankenheim–Sternberg, której ostatnią (jak miało się okazać) regentką była hrabina Augusta, która w roku 1794 opuściła zamek (w obawie przed rewolucją francuską) i schroniła się w Czechach. W latach 1803 – 1816 cały ten region przeszedł w ręce Francji. W tych też latach Junck senior przechodził duchowe rozterki, które skończyły się, jak wiemy, przyjęciem francuskiego obywatelstwa. Nie sposób jednak wykazać, aby istniały jakiegokolwiek więzy krwi pomiędzy nim, a ostatnią przedsta-

wicielką rodu. Tak więc wydaje się, że przydomek „z Blankenheim” (bo tak należy go odczytać), jest jakąś formą sentymentalną, biorącą się z rozterek Karla Mathiasa Juncka przy porzuceniu swojej dotychczasowej ojczyzny. Jest jakby kotwicą dobrowolnie łączącą go z dawnymi laty. A może to nie był wymysł seniora rodu, lecz jego syna, Leona Juncka? Może to właśnie w młodości odezwały się re-sentymenty do stron rodzinnych ojca? Tego nie stwierdzimy już z całą stanowczością... A skąd wzięto się powszechne w polskich źródłach tytułowanie Juncka jako hrabiego? Prawdopodobnie z tego skromnego „de”! Czy ktoś posługujący się przydomkiem „de Blankenheim” mógł być zwykłym śmie-telnikiem? Zresztą wszystko w tym młodym człowieku przemawiało na jego korzyść. Smukła postawa, szlachetność rysów, szaczone stanowisko (pomimo młodego wieku), a wreszcie kierunek, z którego przybył: Francja, w której przecież roiło się od wszelkiej maści hrabiów, książąt, diuków i innej, pomniejszej arystokracji, choć czasami tylko tytularnej. Wydawałoby się, że postawiona przed chwilą teza nie ma słabych punktów, ale wypada jeszcze raz przytoczyć smutną konstatację: życie naszego bohatera pełne jest tajemnic. Jak bowiem należy interpretować – w świetle powyższych ustaleń – informację zamieszczoną w cytowanym już „*Journal de Toulouse*” z dnia 9 maja, gdzie czytamy: „Leon Junck, comte de Blankenheim...”. Czyżby francuska gazeta mogła się mylić? Kończąc ten wątek przedstawiam ciekawostkę, jaką jest powieść Luciena Reymonda. Niestety, nie odnosi się ona ani do naszego bohatera, ani nawet do czasów w których żył.



Kolejną tajemnicą, z jaką musimy się zmierzyć w przypadku Leona Juncka, jest jego stopień wojskowy. Sprawa wydaje się być prosta, bowiem cytowany przed chwilą „*Journal de Toulouse*” z dnia 9 maja wyraźnie mówi: „*ex-sous-lieutenant au 88e de ligne*”, a więc „*były podporucznik 88. pułku piechoty liniowej*”. Jak wiemy, dymisję złożył powodowany chęcią uczestnictwa w walce z Rosjanami. Z kolei w Polsce przysługiwał Junckowi nadany przez przedstawicieli Rządu Narodowego stopień pułkownika, bo taki – niejako z urzędu - otrzymywali dowódcy większych oddziałów powstańczych. Sprawa wydawałaby się zamknięta, gdyby nie pojawiające się w różnych miejscach sprzeczne informacje. Julian Wieniawski w „*Kartkach z mego pamiętnika*” wspomina (tom II, str. 37): „...silny, wyćwiczony oddział pod dowództwem kapitana armii francuskiej, hr. Younga de Blankenheim”. Najwięcej jednak zamieszania uczynił Walery Przyborowski, który w swoich „*Dziejach 1863 roku*” (w tomie IV na stronie 133) napisał: „Wysłali oni [komitet z Paryża – dop. DM] podpułkownika (*sergeants-majors*) Leona Younga de Blankenheim”. Na jakich informacjach autor opierał swoją wiedzę, nie wiadomo, pewne jest natomiast, że w tym krótkim zdaniu popełnił trzy błędy. Jak wiemy ze źródeł francuskich, Junck miał stopień podporucznika (*sous-lieutenant*), nie był więc ani podpułkownikiem (błąd pierwszy), ani też *sergeants-majorem* (błąd drugi). Trzeci błąd polegał na tym, że w wojsku francuskim stopień *sergeants-majora* (wbrew swojej nazwie, która sugeruje dobrze nam znanego majora) był ogniwem po-

średnim pomiędzy stopniem podoficerskim a oficerskim, nie mógł więc być odpowiednikiem stopnia podpułkownika. Rolą *sergeants-majora* było... prowadzenie ksiąg. Stopień ten został zlikwidowany w armii francuskiej w roku 1947. Ponieważ w przypadku Juncka wokół każdej sprawy, nawet tej z pozorów wyjaśnionej, pojawia się wiele kontrowersji, musimy dla wierności faktom dodać poważne zastrzeżenie do przedstawionej powyżej tezy, jakoby udający się do Królestwa Kongresowego Junck istotnie nosił stopień podporucznika. Otóż oparliśmy się w głównej mierze na stwierdzeniu z „*Journal de Toulouse*”: „*ex-sous-lieutenant au 88e de ligne*”. W wiadomości przesłanej przez p. Fontaine’a czytamy: „*Léon Junck intègre l'école spéciale militaire de Saint-Cyr le 12 janvier 1855 et en sort le 1er octobre 1856 comme sous-lieutenant au 88e de ligne. Avec ce corps, il sert en Italie en 1859, même s'il ne se bat ni à Magenta, ni à Solferino. Il passe ensuite au 92e de ligne caserné à Valenciennes. Le 3 avril 1863, Junck démissionne de ce corps*” (w dowolnym tłumaczeniu: Leon Junck wstąpił 12 stycznia 1855 roku do szkoły wojskowej Saint-Cyr, którą ukończył 1 października 1856 i w stopniu podporucznika dostał przydział do 88. pułku piechoty, z którym w 1859 walczył (prawdopodobnie) pod Magenta i Solferino. Po powrocie z Włoch stacjonował w ramach 92. pułku w Valenciennes, gdzie 3 kwietnia 1863 złożył dymisję ze służby). Czyżby „*Journal de Toulouse*” mylił się, tytułując Juncka podporucznikiem z 88. pułku? Skoro mylił się – jeżeli ufać informacjom p. Fontaine’a – w sprawie przydziału służbowego, to może i mylił się w sprawie stopnia wojskowego? Być może wyjaśnieniem tej sprzeczności jest właściwe odczytanie słowa „*ex-sous-lieutenant au 88e de ligne*” (były podporucznik 88. pułku)? Być może określenie to nie odnosi się do momentu złożenia przez Juncka w dniu 3 kwietnia dymisji ze służby, lecz do jakiegoś momentu z przeszłości (ważnego dla redakcji lub wspominających Juncka dawnych kolegów), kiedy był on jeszcze podporucznikiem należącym do 88. pułku. Ta hipoteza wyda się bardziej prawdopodobna, jeżeli zważy się, że od otrzymania szlifów oficerskich do dnia wystąpienia z wojska minęło ponad sześć lat. Gdyby wierzyć gazecie, przez tak długi okres Junck ani razu nie awansował! I to pomimo pobytu na wojnie francusko-austriackiej! Bardzo mało prawdopodobne! Więc może bliższy prawdy był Julian Wieniawski, który – jak wspomina – spotkał się osobiście z Junkiem, a w tych wspomnieniach nazwał go kapitanem armii francuskiej? Prawdopodobnie kontrowersje wokół stopnia wojskowego Juncka wystąpiły już w czasie jego pobytu w Polsce, bowiem nie brakuje śladów wskazujących na próbę podkopania autorytetu tego młodego oficera, a jednym z koronnych argumentów w rękach oszczerców mogło być powątpiewanie w kompetencje wojskowe Juncka. Jako ciekawostkę pokazano poniżej oznakę stopnia *sergeants-majora* (po lewej) oraz *sous-lieutnant* (po prawej) z 88. pułku piechoty liniowej.



Do tej pory rozważaliśmy zagadnienie nazwiska, przydomka, tytułu hrabiowskiego oraz stopnia wojskowego Leona Juncka. Pora przejść do omówienia następnej wątpliwości, jaką jest powód jego udziału w powstaniu styczniowym. Na pierwszy rzut oka sprawa wydaje się jasna: doniesienia prasowe znad Wisły budowały we Francji atmosferę sympatii z narodem, który w obliczu prześladowań i



bezprzykładnego ucisku podniósł się z kolan, by w śmiertelnym zwarciu uwolnić się spod moskiewskiej tyranii. Opisy gwałtów, dobijania rannych i wieszania jeńców, jednym słowem: obraz mongolskiego z natury postępowania, budził naturalną chęć przyjscia z pomocą prześladowanym. Stąd tylu obcokrajowców w szeregach powstańczych: są Włosi, Niemcy, Francuzi. Tych ostatnich najwięcej, być może w związku z „odwiecznym” (jak zwykli mawiać politycy) braterstwem obu narodów. Tymi samymi pobudkami miał kierować się i nasz bohater. Nie mamy dowodów przypuszczać, że tak nie było, a nawet sprawa – którą za chwilę przytoczę – też nie powinna kłaść jakiegokolwiek cienia wątpliwości na postawę Juncka, ponieważ za pomoc udzieloną polskiemu powstaniu zapłacił cenę najwyższą. Warto jednak poruszyć zarzut – choćby był nieuprawniony, ale jednak przez niektórych stawiany – że przybysze z Francji (w tym i nasz bohater) nie byli ochotnikami, lecz... najemnikami. Cytowany już Walery Przyborowski w tomie IV, na stronie 132 *„Dziejów 1863 roku”* pisze: *„Wysyłką ich [tzn. oficerów francuskich – dop. DM] na żądanie Komitetu poznańskiego i, jak się zdaje, kosztem ofiarnego Jana Działyńskiego, zajmował się ks. Władysław Czartoryski w Paryżu, oraz siostra Działyńskiego, zamężna za generałem Władysławem Zamoyskim. Wystali oni między innymi podpułkownika, wicehrabiego de Noe [...] podpułkownika (sergeants-majors) Leona Younga de Blankenheim; niejakiego Emila Faucheux i Rocheblave’a [...] W ogólności, powtarzamy, większość przybyłych Francuzów zakrawała na kondotierów i awanturników [...] mieli oni [tu cytą za A. Guttry *„Pamiętniki”*, t. II, 139 – dop. DM] przesadzone pretensje do naczelnych komend... Miano przysłać więcej, zwłaszcza podoficerów, i pani Zamoyska starała się o to, zgodziła się nawet na ich żądanie płacenia im dziennie po 8 do 10 franków, a na pewno złożyła u bankiera 5600 franków. W ogólności miało przybyć pięćdziesięciu Francuzów do Poznania, ale, jak się zdaje, nie wiele oni byli warci i nie wszyscy wzięli udział w wojnie, a z tych, którzy puścili się na plac boju, jeden Young de Blankenheim zyskał imię historyczne i godnie prezentował waleczność i bitność francuską”*. Trudno powiedzieć, na ile cytowane powyżej informacje o płaceniu żołdu są prawdziwe. Być może w korespondencji Jana Działyńskiego z siostrą Jadwigą znalazłaby się odpowiedź na to pytanie, wymagana byłaby jednak kwerenda w zbiorach biblioteki Kórnickiej. Co do jednego zdania na pewno musimy złożyć zastrzeżenie. Otóż nie tylko jeden Junck bił się dzielnie (choć ten akurat złożył głowę na naszej ziemi). Są liczne świadectwa potwierdzające bohaterstwo innych Francuzów: dowódca kosynierów spod Pyzdr, Paul Ganier d’Aubin, wymieniony imiennie w rozkazie pobitewnym pułkownika Taczanowskiego; wspomniany wyżej Faucheux, dowódca trzeciej (obok Juncka i Taczanowskiego) kolumny wojsk wkraczających z Księstwa Poznańskiego, ranny pod Pyzdrami; dzielny Le Jars, który w bitwie pod Olszakiem konkurował z Callierem o palmę najlepszego strzelca, a któremu w wyniku otrzymanej tam rany obcięto nogę. Przykładów takich można by podać więcej, ale prawdziwe też były przypadki haniebne, choćby wspomnianego Rocheblave’a, który zdefraudował środki finansowe i zniknął z pola widzenia. Cytowany wyżej głos Walerego Przyborowskiego nie jest jedynym, który w negatywnym świetle stawia – przynajmniej niektórych – przybyszy znaną z Sekwany. Bezpośredni podwładny Juncka, Pankracy Wodziński, pisze w swoich *„Wspomnieniach żołnierza-tułacza”* na stronie 93: *„Poznałem tam [narada u hr. Grudzińskiego w Drzążgowie przed wyruszeniem do Królestwa – dop. DM] kilku francuskich oficerów, którzy przybyli celem wzięcia udziału w powstaniu. Francuscy jednak ci ochotnicy nie bardzo obiecująco wyglądali. Czynili oni wrażenie blagierów [...] Jakoż w istocie, z tych Francuzów, którzy wzięli udział w powstaniu, jeden tylko Joung zasługiwał na nazwę człowieka dzielnego i człowieka honoru, które to swoje zalety śmierci walecznych na polu bitwy stwierdził”*. Nie miejsce teraz na analizowanie podobieństw obu cytowanych tekstów i na fałszywą (przynajmniej w części) ocenę ochotników francuskich. Pomińmy, jako nieudokumentowany, zarzut pobierania żołdu, a zapamiętajmy pochlebną opinię, jaką wystawili naszemu bohaterowi świadkowie i komentatorzy tamtych wydarzeń.

Do rozstrzygnięcia pozostaje kolejna kwestia, owiana sprzecznymi informacjami. Chodzi o powszechnie publikowaną na stronach internetowych informację o obcięciu zmarłemu przez rozbastwione żołdactwo obu dłoni. Po raz pierwszy informacja na ten temat pojawia się w liście Apolonii Mateckiej z dnia 2 maja 1863, opublikowanym już 5 maja w „*Dzienniku Poznańskim*”: „*Jung posiekany i do ostatka się bronił. Siedem kul go raniło i obydwie ręce mu ucięto*”. Kilka dni później (8 maja) „*Dziennik Poznański*” poinformował: „*Mylnem jest, jakoby Yungowi obie ręce ucięto, padł on kulą ugodzony*”. Zresztą, istnieje po dziś dzień dokument, który całą sprawę rozstrzyga. Jest to akt zgonu spisany w Brdowie w dniu 1 maja, na mocy którego dozwolono przeprowadzenie pogrzebu, wpisany w księgach parafialnych pod numerem 20/1863. W podpunkcie 13 tego aktu czytamy: „*Wzrost dobry, twarz ściągła, oczy niebieskie, nos mierny, włosy blond, bródka i włosy ciemnoblond, lat 30, ubrany w czarne spodnie kortowe, koszulę jedwabną koloru karmazynowego w czarne cętki, gacie płócienne cienkie, kaftanik flanelowy czerwony, skarpetki bawełniane białe cienkie, postrzał z lewej strony w brzuch od kuli, cięcie od pałasza z prawej strony, u lewej ręki palec mały przecięty, u prawej ręki dwa palce: mniejszy i większy ucięte, ręka za kostką zupełnie przecięta, rekognoskowany przez W. Apolinarego Przyłupskiego z Osieka i W. Antoniego Wakowskiego z Mostek i W. Ksawerego Rościszewskiego z wsi Psar, którzy oświadczyli, że się nazywa Junk Francuz*”. Z powyższego opisu jasno wynika, że nie siedem kul go raniło (jak w liście Mateckiej) i nie dwie, a tylko prawa dłoń była odcięta, co zdaje się świadczyć nie o pastwieniu się żołnierzy, a raczej o heroicznej walce do końca. Pomimo postrzału w brzuch Junck prawdopodobnie nadal walczył, trzymając pałasz w prawej ręce (to, że był praworęczny, można poznać po sposobie przypasania broni na zdjęciach), i to w wyniku tej walki doznał opisanej w cytowanym dokumencie rany. Inna z odnotowanych ran, cięcie od pałasza z prawej strony, zdaje się pośrednio potwierdzać tę tezę. O ile bowiem inni powstańcy w większości mają postrzały od kul lub rany zadane bagnetem, o tyle rany Juncka mogą świadczyć o walce szermierczej, a wtedy tak okropna rana (obcięcie dłoni) stanie się prawdopodobna. Nie wiadomo natomiast, czy odcięcie palców też było wynikiem walki. Prawdopodobnie tak, choć gdyby założyć, że oficer miał na palcach jakieś sygnety lub pierścienie, to można by powstanie tych ran wiązać z barbarzyńską metodą ich rabunku po jego śmierci. Czasami spotyka się informację o Juncku walczącym z kosą w ręku, najczęściej „malowniczo” opartego o pień dębu. Wydaje się, że jest to próba mitologizowania naszego bohatera. Z takich opisów zdaje się przemawiać schemat: *Patrzcie! Swój chłop! Wojował tym, czym nasi ojcowie wojowali!* Otóż nie wydaje się, aby oficer zawodowej armii francuskiej postugiwał się bronią zupełnie mu nieznaną, prymitywną, której fechtunku nie miał na pewno czasu posmakować, bo mniej niż dwa tygodnie spędził wśród powstańców. Zresztą, istnieją wspomnienia uczestników walk pod wodzą Juncka, gdzie przewija się opis kępi zatkniętego na pałaszu i okrzyk wodza: *An avant!*

Na zakończenie zajmijmy się jeszcze tematem pochówku Juncka. Ta sprawa również nie do końca jest jasna. Dużo informacji otrzymujemy z cytowanego już listu Apolonii Mateckiej do męża. Była on w Brdowie w dniu pogrzebu, a list swój napisała w dniu 2 maja. Czytamy w nim: „*W tej chwili wróciłam... z mogiły poległych naszych. Mimo pośpiechu już zastałyśmy ich złożonych w mogile i przykrytych [ziemią] – prócz Karolka [chodzi o Karola Libelta juniora – dop. DM], który osobno leży w trumnie... Wzięłam [...] skrzwawionych włosów i zabrałam wieniec z trumny*”. Wszystko wskazuje na to, że zabitych powstańców pochowano w dniu 1 maja, zaraz po sporządzeniu aktu zgonu. Biorąc pod uwagę rozmiar tego dokumentu oraz szczegółowość opisu należy przyjąć, że była to wielogodzinna czynność, a skoro zaczęła się o godzinie ósmej rano, to do pogrzebu mogło dojść wczesnym popołudniem. Mało prawdopodobne jest, aby Rosjanie zgodzili się na odprawienie nabożeństwa w kościele, raczej mieliśmy do czynienia ze skromnymi uroczystościami na cmentarzu. Można domniemywać, że

spośród zabitych trzy osoby złożono w trumnach i oddzielnych grobach, resztę natomiast pochowano we wspólnej mogile, owiniętych płótnem. Zastanawiać może, że Apolonia Matecka miała dostęp do ciała Karola Libelta. Być może najpierw zajęto się pogrzebaniem ciał we wspólnej mogile, a z uwagi na ogrom i czasochłonność tego przedsięwzięcia, autorka listu zdążyła dojechać na końcowy etap uroczystości. Brak wzmianki o innych trumnach może świadczyć albo o skoncentrowaniu uwagi na siostrzeńcu, albo o wcześniejszym pochowaniu Franciszka Złotnickiego, dziedzica z Błennej, oraz Leona Juncka. Zresztą, gdyby Matecka widziała ciało Juncka, nie napisałaby w liście o odcięciu obu dłoni. O tym, że oprócz Libelta dwie inne osoby były pochowane w trumnach, świadczą trzy oddzielne groby znajdujące się na cmentarzu, dla innych powstańców miasteczko nie było w stanie w tak krótkim czasie przygotować tylu trumien (zginęło przecież około siedemdziesięciu ludzi), więc pochowano ich wszystkich razem, owiniętych – jak wspomniano – w płótno. Rozmiar wspólnej mogiły nie pozostawia w tym przypadku żadnej wątpliwości. Wieść gminna podaje, że w jakiś czas potem, ale nie wiadomo dokładnie kiedy, miała zjawić się w Polsce rodzina Juncka i zabrać jego ciało do Francji. Biorąc pod uwagę wiek Charlesa Mathieu Juncka, który w chwili śmierci syna liczył już sobie 71 lat, jest to mało prawdopodobne i raczej sprzeczne ze zwyczajem grzebania żołnierzy w pobliżu miejsca bitwy.

Czas na końcową konkluzję. Życie i śmierć Leona Juncka okryte są wieloma niejasnościami, do których rozpowszechnienia przyczyniła się niewątpliwie pośmiertna legenda tej postaci. Możemy jeszcze długo sprzeczać się o ten, czy inny fakt, ale te spory nie powinny przesłonić nam sprawy najważniejszej: pod Brdowem zginął dzielny, młody przybysz z obcego nam plemienia, który za nas i za naszą wolność położył na szali swoje życie.

My już wiemy, że Leon Junck nie został generałem. Nie porzucił też służby wojskowej, aby zaszyć się gdzieś w Prowansji, splotić gromadkę dzieci i uprawiać wraz z nimi winorośl. Nie został też dyplomatą i resztę życia nie spędził podróżując po wszystkich kontynentach.

Leon Junck został... z nami.